

# PROLOG

Nazywam się... Właściwie nie pamiętam, jak naprawdę brzmi moje imię. Pewna dama, od której wszystko się zaczęło, nadała mi imię Burza. To było wieki temu. Teraz, u końca świata, chciałbym opowiedzieć wam, co spotkało rzeczywistość, w której właśnie się pojawiliście. Wpadliście bowiem w dogorywającą plątanicę wymiarów przez jedną z wyrwanych dziur. I dziwnym trafem natknęliście się akurat na mnie.

Wasz świat, ten, który znacie, to tak zwana kreska, wymiar zerowy. Wyżej istnieje ponad setka wymiarów, położonych jeden na drugim, jak... warstwy na weselnym torcie. Każdy zawiera w sobie świat bardziej złożony od poprzedniego, późniejszy. Podam wam jakiś wyrazisty przykład – w osiemdziesiątym siódmym wymiarze olbrzymie stacje kosmiczne, loty międzyplanetarne i wysypiska galaktyczne to już zwyczajność. Wymiary powyżej kreski sięgają w przyszłość, realizując odmienne scenariusze rozwoju zamieszkujących je istot. Niech spojrzę, skąd dokładnie jesteście... cóż, chyba najbardziej obrazowe będzie dla was porównanie do symulacji. Nad wami znajdują się kolejne poziomy-eksperymenty utrzymujące w sobie różne formy istnienia. Cel tego systemu? Identyczny jak znanej wam matki natury – stworzenie najdoskońalszych istot i znalezienie dla nich najlepszej drogi przetrwania.

Poniżej kreski mamy tylko trzynaście wymiarów. Niektórzy nazywają je zakazanymi. Można powiedzieć, że sięgają

w przeszłość, wypaczając ją na różne sposoby. Tysiąc lat temu zszedłem tam i przypieczętowałem swój los.

Teraz trochę skomplikuję sprawę, żeby za chwilę pogmatwać ją jeszcze bardziej. Wybaczcie, jeśli nie wszystko od razu zrozumiecie. Jestem zmęczony. Ale wyjaśnię wam niuanse z czasem. Pokażę dzieje osób, które kiedyś znałem, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Każdy z wymiarów nagromadzonych wokół kreski ma nieskończoną ilość podwymiarów. Taki zapas... do czego wam to porównać... wiem, do snów. W snach kreujecie mnóstwo światów, czasem dziwnych, czyż nie? I większość z nich bepowrotnie przepada, chyba że je zapiszecie. Podwymiar to takie dzienniki snów konkretnych wymiarów – utrwalone w materii kopie, widziadła, zagracone przestrzenie i otchłanie bez dna...

Wydaje się, że sny są do niczego nieprzydatne, a jednak organizm ich potrzebuje. Umysł podczas życia projektuje miliony chaotycznych wersji rzeczywistości. Robi to nieco bezładnie, ale często bardzo szczerze, mam rację?

Podwymiar spełniają podobną funkcję dla wymiarów, co dla was sny. To place zabaw, magazyny, tajemnicze miejsca projektów, wspomnień. Budowy, gdzie błyskawicznie powstają przepyszne wizje, niszczone następnie w mgnieniu oka, gdy się obudzicie. Podwymiar zastygają jak sny spisane na kartkach, ale nie czyni ich to trwałymi. Wielu mieszkańców wymiarów uważa, że są światami nieistotnymi, a stworzenia w nich egzystujące to nieuprawnieni obywatele, nawet niegodni miana żywych.

Mieszkańcy podwymiarów nazywani są klonami. Część z nich potrafi przedostać się do wymiarów. Zobaczycie, o czym mówię. Cierpliwości. Wszystko wam opowiem. Mam na to ostatnie tchnienie rzeczywistości, którą znałem i którą zabiłem.

Ten zarysowany pokrótce model wieloświatów zwie się Zrzeszonymi Wszechświatami. Przez tysiące lat ten „tort weselny” był trwały i stabilny. A potem stałem się ja. Nadszedł czas krojenia, dzielenia i... konsumpcji.

Chcę wam pokazać, co przytrafiło się mnie i moim bliskim. Czyj ten tort był i jak doszło do zaślubin. To trochę zajmie. Zacznę od momentu pomieszczenia wymiarów, bo przeszłość nigdy już nie wróci, a mnie pozbawiono części wspomnień. Muszę więc posiłkować się wypowiedziami innych.

Być może byłem tylko kamieniem, który wywołał lawinę. Ocenicie sami. Dość teraz powiedzieć, że po mękach, w przepływie szaleństwa, rozerwałem wymiary. Nie do końca jeszcze sam wszystko pojmuję. Nie wiem też na pewno, co się ze mną obecnie dzieje. Nie wygląda to ani na śmierć, ani na życie. To jak... poczekalnia. A może gabinet? Utknąłem tu i czuję potrzebę mówienia, a wy jesteście moimi słuchaczami. Jakbym rozpoczął... psychoterapię. Nigdy mnie na coś podobnego nie skierowano, tylko od razu wlepiono panaceum. Cieszę się, że chociaż teraz mam okazję do zwierzeń. Cieszę się, że mnie wysłuchacie, chociaż mogę malować dla was obrazy ze słów już tylko po tym, co zrobiłem, relacjami osób, które mnie szukają. Tak, jestem poszukiwany i na razie nie mogę zostać odnaleziony.

Przedstawię wam osoby, których życie odmieniłem na lepsze lub gorsze. Dwóch braci, Igora oraz Szawła – podobnie jak wy wypadli przez dziurę ze swojego świata. Przejęli życia własnych klonów i są zupełnie zagubieni. Zaprowadzę was do wiedzy Szauski. Zabiorę na misję Likwidatorów – moich dawnych przyjaciół i współpracowników. Pokażę wam, co stało się z kreską, kiedy pokaleczyłem wymiary, a wy ją opuściliście. Zniszczyłem wielkie potacie kontynentów, ale wasz kraj rozkwitł na ich nędzy. A ze skażoną, czarnobyłską Strefą Wykluczenia stało się coś niewiarygodnego...

Plątanień całkowicie różnych światów i wymiarów złączyła nie tylko awaria systemu, ale i moce, które podczas niej uwolniłem. Istoty powołane przeze mnie do istnienia przypadkiem, a może przeznaczeniem.

Nazwano je Dziećmi Burzy.

Część pierwsza

**WINA**

Zamieć mgłami niebo kryje,  
Wichrów śnieżnych kłęby gna,  
To jak dziki zwierz zawyje,  
To jak małe dziecię łka.  
To ze strzechy nam słomianej  
Wyrwie z szumem kępę mchów,  
To jak pielgrzym zabłąkany  
W okieneczko stuknie znów.

Bida z lichą tą chatynką!  
Ledwo się światelko ćmi.  
Czemuż, moja starowinko,  
W kątku tak przymilkłaś mi?  
Czyś znużona tą zamiecią  
Zawodzącą głuchy tren,  
Czy miarowy turkot wrzecion  
W błogi cię pogrzążył sen?

Pijmy, wierna towarzyszko  
Moich biednych młodszych dni.  
Jak nie sięgnąć do kieliszka,  
Kiedy w sercu smutek tkwi?  
Zanuć piosnkę o ptaszynie,  
Co za morzem gniazdko ma,  
Zanuć piosnkę o dziewczynie,  
Jak po wodę rankiem szła.

Zamieć mgłami niebo kryje,  
Wichrów śnieżnych kłęby gna,  
To jak dziki zwierz zawyje,  
To jak małe dziecię łka.  
Wiec wypijmy, starowinko,  
Przyjaciółtko troski mej!  
Pijmy z żalu; gdzież to winko?  
Zaraz sercu będzie lżej

Aleksander Puszkina, *Wieczór zimowy*, tłum. Julian Tuwim

# Rozdział 1

## **SZEDŁ I SIAŁ ŚMIERĆ**

### **Trzynasty wymiar pod kreską, Wiedźmi Las**

Knieja zdawała się mętna jak brudna woda, oślizgła. Bluszcz pokrywający nagie, poskręcane drzewa był przegniły i wilgotny. Stąpanie po wiotkiej, szarozielonej trawie uwalniało stęchły odór pleśni. Ogołoczone ze zwierzyny i śpiewu ptaków, pełne niecierpliwego, głodnego robactwa, leśne schronienie przygotowało Szawła o dreszcze, choć siedział tuż przy ognisku. Igor próbował umyć się w cuchnącej sadzawce na skraju polany, przy której obozowali. Bez wahania rzucał się do podejrzanych źródeł wody kilka razy dziennie, szorując w nich wychudzone ciało suchą trawą albo korą. Szaweł chciał wreszcie doprowadzić do konwersacji, powiedzieć bratu, że nie pozbędzie się w ten sposób poczucia skalania, choćby zdarł z siebie żywcem skórę. Lecz gdy owinął się szczelniej postrzępionym kocem i zaczął podnosić z ziemi, rozległ się śpiew Khali.

Nie miała słowiczego głosu, a słowa pochodziły z jej rodzimego języka, którego bracia wciąż nie zdołali się nauczyć. A jednak coś poraziło Szawła, sprawiając, że zamarł, wsparty na jednej ręce o zimny grunt. Odstępująca, ledwie żywa knieja słuchała radosnej pieśni, jakby pierwszy raz dostąpiła promieni słońca. Dało się wyczuć energię w drzewach, ruch lepkich, zastałych soków w wyschniętych żyłach roślin. Khala, przez

tygodnie marszu milcząca i zasępiąca, kiwała się z uśmiechem w przód i tył, siedząc ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw Szawła. Dźwięki wydobywające się z jej gardła zdawały się wręcz nie na miejscu. Kilka kroków dalej stanął zdziwiony Igor, ociekający zielonkawą wodą.

Obaj bracia pomyśleli, że dziewczyna w końcu zwariowała. Gdy przestała śpiewać, podniosła głowę i zamarła, patrząc to na jednego, to na drugiego towarzysza.

– Urodzę najsmutniejsze dziecko na świecie, jeśli dalej będziemy tak żyli – oznajmiła. – Musimy przestać.

– Łatwo ci mówić – prychnął Igor, szybko nabierając szkarłatnych rumieńców. – Jak mogłaś...

– Była wojna! – natychmiast wtrącił się Szaweł. – Wezwali cię! Wszyscy umierali, nikt nie był w stanie... Chciałem pomóc!

– Nie wiedziałem, że tak się pociesza szwagierki. I uśmierca braci, zanim faktycznie szlag ich trafi.

– Wydawało się, że świat dobiega końca...

– Bo tak się stało! – Igor opadł na ziemię i wbił puste spojrzenie w tańczący ogień. – Nie widzisz tego? Wszystko jest martwe. Dobrze mają się tylko te cholerne Dzieci Burzy.

Szaweł wolałby, żeby Igor wrzeszczał i mu przyłożył. Ale ten, ledwie trzewia liznął mu płomień gniewu, natychmiast się wycofywał. Zamykał złość w sobie, dusił pożar, topił iskry w głębinach świadomości. Szaweł uważał, że musi rozsierdzić brata, jeśli w ich relacjach miała nastąpić poprawa.

– Żałujesz, prawda? – zaatakował. – Że wycofałeś się z pola walki. Że cię nie poraziło i nie zostałeś jednym z nich.

Igor skierował pozbawione wyrazu spojrzenie na młodszego mężczyznę. Ten wciąż nie mógł dojść, gdzie podział się człowiek, którego znał. Co sprawiło, że przestał go rozpoznawać – wojna czy zdrada? Oślizgła knieja wciąż zdawała się im przystuchiwać, jakby złakniona emocji, ruchu, życia.

– Nie masz pojęcia... Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to było, kiedy się uwolnił. – Igor spojrzął w dal, ponad uwięzłymi

koronami drzew, jakby wciąż widział tam sunącego Burzę. – Szedł, po prostu szedł przed siebie, siejąc śmierć. Zobaczyłem go... Tysiąc lat więziony, odseparowany od kogoś, kogo kochał... Był tylko cieniem, a mimo to cień ten padał na wszystko i porażał jak oślepiające światło. Czułem jego ból. Nie oczekiwał współczucia, tylko zemsty na wszystkich. I pomyślałem: dobrze. Idź. Zabijaj, póki się nie nasycisz. Nie potrafiłem stanąć na jego drodze. Nie chciałem mu przeszkadzać. Niech rozpirzy tę krainę, myślałem. Mnie też zabrano od kobiety, którą kochałem. Rozumiałem go. Na Bogów, Szaw! Znalazłem ją na końcu świata. Ukradłeś mi ją.

– Nie jestem rzeczą, którą można mieć – wyszeptła Khala. Igor nawet na nią nie spojrzął.

– To prawda. Jesteś zwykłą kurwą.

Na chwilę zapadła cisza. Ciemny, schorowany las zdawał się upojony parszywym losem zgromadzonych wokół ogniska ludzi. W żaden sposób nie ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem, złakniony wrażeń. Chłonał ładunki elektryczne, zjadał światło i dźwięki, gdy napastnicy zbliżali się do obozowiska.

Dzieci Burzy zazwyczaj nie zagłębiały się w Wiedźmi Las, lecz one także cierpiały głód. Szukały swego pana, który stworzył je, po czym natychmiast porzucił. Jego żądza mordu wyczerpała się, gdy ze świata niewiele już pozostało. Podobno przybrał niewiadomą postać i zniknął wśród ofiar własnej pożogi. Jego osierocone dzieci poczęły terroryzować tych, którzy przetrwali Burzę, i na nich żerować.

Do obozowiska nie zbliżał się samotny oddział, jeden z setek tysięcy, jakie snuły się po Starym Kontynencie. Pomiędzy czarnymi pniami sunęła armia. Nędza zmuszała byłych żołnierzy do jednoczenia, choć im więcej jednostek znajdowało się w grupie, tym większe nękały ją wyładowania. A te wysuszały Dzieciom Burzy życiowe soki. Zebrany armiom nie zawsze udawało się wywołać oberwanie chmury, które ich dożywiało i dawało energię, ale najwyraźniej podejmowane



ryzyko się opłacało, bo doniesień o wielkich pułkach było coraz więcej.

Khala, zwrócona twarzą w stronę, z której przybywały burzowe pomioty, spostrzegła je dopiero kilka metrów od polany. Zerwała się z krzykiem, łapiąc krzesiwo – najcenniejszy bagaż – i uciekając w las. Szaweł i Igor rzucili zdeorientowane spojrzenia na pręcą ku nim ścianę wysokich, humanoidalnych istot, utkanych ze spalonego mięsa, rozgrzanych skał, wyładowań elektrycznych i otoczki osobliwego gazu. Kiedy były dożywione, wyciekała z nich ciecz, przez co porażenie elektryczną mocą stawało się śmiertelne. Teraz ziemia pod ich stopami była sucha, ale to wcale nie zmniejszało zagrożenia.

Mężczyźni zobaczyli setki przejrzyste błękitnych, hipnotyzujących oczu, niczym sople wbite w spalone twarze. Poczuli pierwszą falę skumulowanego promieniowania i obydwoj gwałtownie wypuścili powietrze z płuc, jakby ktoś tupnął ich w żebra. Igor był już narażony na podobną dawkę; teraz zastygł w miejscu, siniejąc nagle, i bezmyślnie wyciągnął ręce ku Dzieciom Burzy. Szaweł szarpnął go za ramię, uderzył dwukrotnie w twarz i pociągnął za sobą w kierunku poskręcanych zarośli, przez które Khala przeskakiwała już jak spłoszone zwierzę. Instynkt macierzyński dodawał jej skrzydeł.

Mając przed sobą obraz żony, a nie odmienionych żołnierzy, Igor ocknął się i zaczął uciekać o własnych siłach. Szaweł biegł na końcu, przyjmując najcięższe fale promieniowania. Czuł, jak jego serce zaczyna bić nieregularnie, włosy stają dęba, skóra mrowi i coraz mocniej piecze. Obraz nabrał fioletowej barwy, drżał i pulsował w nierównym rytmie krwi. Stan ten przypominał mężczyźnie, jak za smarkatych lat najadł się wilczych jagód. Igor złapał go za kark i zmusił do szybszego przedzierania się przez knieję.

– Są osłabione, mają mniejszy zasięg! Trzymaj dystans! Musimy uciec, póki nie rozpuętała się burza! – krzyczał mu do ucha.

Las ożył. Początkowo poskręcane korzenie i spróchniałe pnie zdawały się stawać na przeszkodzie uciekinierom, zacieśniając się wokół nich i próbując przyczynić do upadku. Skrzypiące gałęzie i ubłocone korzenie zahaczały o ramiona i nogi, wczepiały się we włosy, szarpały za ubrania, tak że biegnący byli coraz dotkliwiej haratani. Dookoła lasu zbierały się otowiane chmury, ku uciesze Dzieci Burzy, które wydawały ni to zwierzęce, ni to ludzkie jęklliwe odgłosy, a ich radosne podniecenie przyprowadziło o mdłości.

Choć Szaweł nie był dotąd tak blisko burzowej armii, wiedział, że podczas ulewy nie mają żadnych szans. Oberwanie chmury nad tak liczną gromadą odmieńców prawdopodobnie zmiotłoby całą knieję, spaliło do gołej ziemi, zamieniło w kolejne płaskie ugory, na których nic już nie mogłoby się ukryć. Jednak choć zdawało się, że gdzieś poza lasem szaleje nawałnica, nad nim nie padało. Sama knieja zmieniała front, ustępując uciekinierom z drogi. Biegli teraz z łatwością po gładkim gruncie, czując, że wróg zostaje w tyle i traci nadzieję na łup, skupiając się całkowicie na odległej obietnicy burzy.

Wędrowcy wpadli w szpaler wysokich, zdrowych jeszcze olszyn, na końcu którego ujrzeli ukrytą w cieniu gęstych koron polanę i zarys drewnianej budowli. Khała ruszyła ku niej, ale po chwili zatrzymała się i pochyliła nisko, łapiąc za brzuch. Na szczęście drzewa zamknęły drogę zwartym murem, a Dzieci Burzy minęły trójkę ofiar w wystarczającej odległości, by nie truć ich swoją aurą.

Szaweł oparł się o olchowy pień i złapał kilka wdechów. Mimo zażegnanej groźby wciąż nie czuł się bezpiecznie. Igor stał nad dyszącą Khałą, patrząc to na nią, to w głąb szpaleru, na mającący w oddali dom.

– Kto chciałby mieszkać w tym przeklętym lesie? – spytał Szaweł. Odskokzył od drzewa, bo zdało mu się, że poczuł ruch pod chropowatą korą.

Igor roześmiał się. Szaweł nie widział tego od czasów przed zwerbowaniem. Jego brat oparł się dłońmi o kolana i rżał ze śmiechu.

– Żartujesz, Szaw? – wykrztusił w końcu. – To Wiedźmi Las. Babcia opowiadała mi o nim bajki. Tobie nie zdążyła. Wpadliśmy z deszczu pod rynnę.

Khala wyprostowała się i pomaszerowała ku ukrytemu w mroku domowi. Szaweł podszedł do brata. Przez chwilę stali, patrząc na nową zagadkę, niewiadomą w świecie, który zaskakiwał ich tylko kolejnymi nieszczyćściami.

– Jeśli to jakiś pustelnik, znachor, nawet czarownik... to dobrze – stwierdził Igor. Uśmiech wciąż błędził mu po twarzy. – Powie nam czy to piąty, czy szósty miesiąc.

Ruszył za żonę, a Szaweł, wciąż czując nierówne bicie serca, podążył za nimi. Las powoli cichł i zamierał, niczym pajęczyna, w której szamotała się mucha, aż postanowiła się poddać, gdy padł na nią cień pająka.

## **Dawne ziemie Rzeszy Niemieckiej**

Nik wpatrywał się w pusty horyzont świata, który prawie wyzionął ducha. Przywołał w myślach słowa dowódcy. *Jeśli Burza się wydostanie, możemy sobie wszyscy poderżnąć gardła.* Generał Herman zrobił tak, jak powiedział – rozplątał sobie krtań, padając w kałużę krwi, gdy na niebo wstąpił cień Burzy, zwiastując apokalipsę. Dowódca zostawił cały oddział na placu boju, a żołnierze rozpierzchli się w popłochu, gdy tylko ujrzeli wroga. Niektórzy poszli w ślady Hermana. Na stanowisku pozostał Nik i jego dwóch kompanów. Nie wiadomo, czy byli zbyt przerażeni, by się ruszyć, czy też próbowali pozostać w grupie i cokolwiek zdziałać. Wspomnienia Nika zdawały się niewyraźne, jakby dotyczyły dzieciństwa. A dziś nie był już żołnierzem, tylko gromem. Powoli zapominał, co oznacza człowieczeństwo. Hipnotyzowała go pusta, szara przestrzeń wokół, nieustannie szukał

w niej olbrzymiej sylwetki swojego stwórcy. Świadomość tego, że Burza porzucił prawdziwą formę, nic nie zmieniała – tęsknota Nika była wręcz instynktowna, pierwotna, zniewalająca.

Podszedł do niego inny grom, również pilnie przepatrujący horyzont, ale zdawało się, że szuka czegoś innego.

– Kiedyś tu żyłem – oznajmił. – To skraj ziemi Germanów.

– Pieprzone pustkowie jak wszystko – odparł Nik.

– Mylisz się. Pan eksplodował na... Zimnym Łądzie. – Nazwanie kontynentu zdawało się sporym wysiłkiem dla mówiącego. – Przeszedł przez... Królestwo Piasków i Bliski Wschód, zahaczając o Daleki. Na... Zimnych Wyspach zmienił kurs, jak wąż lawirował po Nowym Łądzie, potem wkroczył do Europy i tutaj wyhamował. Kiedy wejdziemy we Wschodnią Germanię i będziemy przeszukiwać ziemie Słowian, aż do skrawka... Rosji, znajdziemy świat skażony, ale niezniszczony. Przestrzeń, choć połamana, ocalała, ale czas wszędzie się rozpadł. Pan stawiał wielkie kroki, a mimo to światy nadążały z wysyłaniem przeciwko niemu armii... Z kilkudziesięciu wymiarów ściągał je ku sobie, odmieniał i rozrzucał znowu po wymiarach, pozostałe istoty mordując lub oszczędzając... Nie potrafię w pełni nazwać tego, czym się kierował. Nie potrafię określić, ile dni minęło. Nie ma już po co posługiwać się starym czasem. Jesteśmy my i przestrzeń oddzielająca nas od Pana.

Nik spojrział na wyższego od niego groma, bardziej roziskrzonego, rozpalonego silnym, naelektryzowanym płomieniem. Trudno było rozróżnić poszczególne jednostki w armii, ale zdawało mu się, że ma do czynienia z dowódcą. Dostrzegął ten ogień na czele grupy podczas marszu.

– Nie pamiętasz już wszystkich nazw, prawda? – spytał.  
– Ja też.

– Nie chodzi o to, że nie pamiętam – stwierdził rozmówca, z namysłem artykułując każdy wyraz. – Po prostu... wszystko uległo awarii. Pomieszały się czasy, być może wymiary. Burza należała do kilku światów. Nasz znał z różnych okresów. Pamiętam...

karabiny i szable, działa neutronowe i maczugi. Pamiętam zniewolone i wyzwolone kobiety, mężczyzn hardych, jak i podległych, federacje przenikające izolację. Większy i mniejszy księżyc, a nawet dostrzegam ich kilka spirali, tańczących w dziwnych konstelacjach. Widzę roboty oraz jaszczury, statki kosmiczne, bitwy galaktyczne, olbrzymie potwory pożerające planety. Zwierzęta przypominające rośliny, pnące się w górę przy niewielkiej gravitacji, o długich, chwiejących się na wietrze szyjach. Rośliny upodabniające się do zwierząt, będące doskonałymi drapieżnikami. Nie wiem, co jest prawdą, a co fikcją. Co wyobrażeniem, a co czymś doświadczeniem. Nie mam pojęcia, w jakich czasach żyłem, w głowie tkwią mi szeregi rodziców, żon i mężów, dziwnych stworzeń, z którymi trwałem w komitywie. Byłem królem, nędzarzem, dziwką, świętą... Widziałem wodospady wody, krwi, żyłem ślepy i głuchy, byłem jednym i wszystkim... Nie mogę się na tym skupiać, bo aż cały się trzęsę. Mam setki nazw na jedną rzecz, więc wybieram albo wymyślam najprostszą, z najłatwiejszego języka... Zauważyłeś, że właśnie mówiłem kilkudziesięcioma? Zrozumiałeś mnie?

– Nie zauważyłem... Ale tak, pojąłem każde słowo – stwierdził skonsternowany Nik. – Ja... mam tylko takie sny. Na jawie jestem jakby zanurzony w głębokiej wodzie, otumaniony jednym pragnieniem. Jedną myślą.

– Widocznie dostałeś rykoszetem. Masz za mało ładunków i zbyt wolno krążą. Ale połączymy się z kolejnymi oddziałami, zyskamy nowe moce i usłyszysz w swojej głowie głos światów.

– Skąd to wiesz?

– Wydaje mi się, że wiem wszystko. Trudno wytuskać z tego pojedyncze wątki, ale uczę się.

Nik spojrział na tysiące zbierających siły, głodnych gromów. Wiedział już, co potrafi ta olbrzymia grupa. Jeśli dożywi ich nawałnica, będą kataklizmem podobnym Burzy. Znacznie mniejszym, lecz bliźniaczym.

– Czym jesteśmy? – pytał dalej.

– Pomieszaniem stworzonym ze złości – odparł bez wahania dowódca.

– A pożeranie żywych? – Nik wreszcie miał komu wyłuszczyć swoje wątpliwości. – Byliśmy kiedyś nimi. Teraz ich zjadamy. Jak to wyjaśnisz?

Przewodnik wbił w niego rozbawione, zachłanne spojrzenie. Nik musiał użyć siły woli, żeby się nie cofnąć.

– To śmiertelnicy, którzy uwięzili Burzę. Nienawidzi ich. Ale nie martw się, jesteśmy dopiero na początku. Światy właśnie zaczynają się przenikać. W końcu napotkamy na swojej drodze coś, co nie będzie pokarmem dla gniewu Pana. Istnienia, którym warto pozwolić żyć.

## **Wiedzmi Las**

Ostrożnie minęli przyprószonego siwizną, czarnego wilczura, który siedział na końcu ścieżki i wpatrywał się w nią niby w pęto kielbasy. Nie zwrócił na nich uwagi, zdawał się przenikać wzrokiem ich marsz. Sprawiał wrażenie wręcz iluzorycznego, jakby stanowił ledwie wspomnienie albo straszak na intruzów.

Parterowy dom za nim wyglądał na wybudowany z czułością i kunsztem cierpliwego mistrza. Ciemne deski były idealnie spasowane, wygładzone i pokryte srebrzącą się jak rosa substancją. W przystrzyżonej trawie podwórza rosły drobne kwiatki w najróżniejszych pastelowych barwach. Przy szerokiej studni spały kolejne dwa ciemnoszare wilczury, na parapecie jednego z okien tłoczyły się białobure kocicęta; każde szukało najwygodniejszej pozycji w ciepłych fałdach skóry drugiego. Polana schowana była w mroku splełanych, wielkich koron niezidentyfikowanych drzew o niebieskawej korze, a mimo to wszystko zdawało się wyraźne, emanujące własnym światłem. Z gałęzi zwiślały dziesiątki papierowych lampionów, wygaszonych teraz, lecz w powietrzu wciąż unosił się zapach dymu i róż.

Szawet podszedł do Igora i Khali, wpatrujących się w pranie, wywieszane za niewielką werandą w głębi polany. Spojrzał w szokowane twarze towarzyszy, po czym podszedł bliżej rozwieszonych kształtów. Miał gorszy wzrok od brata i kochanki.

Ze sznurów zwisały rozczłonkowane Dzieci Burzy. Pozbawione energii elektrycznej, na pierwszy rzut oka wyglądały jak spalone ochłapy mięsa pokryte siecią osmolonych żyłek. Z długich rąk, tułowi i pociętych głów skapywała gęsta, wciąż gorąca substancja, zbierana do rozstawionych pod nimi misek, cebrzyków i talerzy. Fragmenty zmarłych rozpostarte były na sznurach, rozciągniętych od domu do drzew okalających łąkę. Makabryczny tup niewyobrażalnego drapieźnika.

Po Burzy gromy stały najwyżej w łańcuchu pokarmowym. Co ich dopadło, rozkroiło i wystawiło do suszenia?

– Musimy stąd iść. Natychmiast. – Igor złapał ramię Khali w żelazny uścisk, ale ta zaczęła się szarpać. Coś chrupnęło w jej barku, więc mężczyzna puścił ją i przeprosił mrukliwie, po czym wskazał ręką na las i zamarł, oczekując posłusznego udania się między drzewa.

– Ten ktoś morduje gromy – stwierdziła oschle kobieta. Spojrzała na Szawła, szukając zrozumienia. – To najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Młodszy z braci ogarnął wzrokiem groteskowe pranie i srebrzący się dom. Psy i koty wciąż spały w najlepsze. Zza studni nadeszły dwie kury, szukające smakołyków w trawie. Gdzieś z tyłu domu rozległo się beczenie kozy. Krzewy róż pod oknami były przycięte i zadbane. Ktoś próbował puścić od wschodniej strony bluszcz po domu, konstruuując mu rusztowanie z uschniętych gałęzi. Przed drzwiami wisały dziesiątki wielkich łapaczy snów. Szawet nigdy nie widział takiego domu i nie odczuwał podobnego spokoju od lat.

– Powinniśmy zapukać – stwierdził ostrożnie. – Poprosić o jedzenie i ubrania. Zioła. Może ten ktoś wie, jak odebrać poród. Co zrobić, jeśli nastąpią komplikacje. My nic nie wiemy.

Niczego nie mamy oprócz bezużytecznego złota matki Khali. A czarownicy ze wszystkiego zrobią użytek. Biorą złoto.

– Skąd wiesz? – rozległo się pytanie.

Za werandy wyszła ku nim szczupła, zdająca się młodą, kobieta, wspierająca jednak na lasce wątłe ciało. Jej ciemne włosy sięgające kolan poprzytkane były siwizną, w zapadniętej twarzy wyróżniały się wielkie, błyszczące oczy. Na obleczonym w śliską, cienką tkaninę ciele niemal nie odznaczały się piersi ani inne krągłości. Szawel był pewien, że znokautowałby tę niewiastę jednym ciosem, a mimo to, gdy szła ku nim, miał wrażenie, jakby przed nią kroczyła niewidzialna, olbrzymia, pełna mocy postać.

– Słucham? – Igor wyglądał na zdezorientowanego i przestraszonego, ale odezwał się, choć to nie do niego skierowano pytanie. Obowiązki starszego brata i głowy rodziny. Z trudem postąpił dwa kroki do przodu i zastonił Khalę. Też czuł ową ukrytą potęgę, która zdawała się chronić wyniszczoną kobietę.

Zatrzymała się tuż przed dezserterem. Była niemal tak wysoka jak Igor. Uważnie wpatrzyła się w jego oczy, a wszystko zwolniło, stało się jakby kleiste. Przez chwilę otumanione sekundy mozolnie pokonywały i przekształcały przestrzeń. Szawel zauważył, że kobieta zdaje się tak samo migotliwa i srebrzysta jak jej dom. W rzęsach coś się skrzyło, podobnie jak we włosach, na ustach, ramionach i ubraniu.

– Ty też wiesz, że czarownicy biorą złoto? – spytała łagodnie Igora.

– No... tak. Sprzedają ludziom towary za żółty kamień, więc musi mieć dla nich jakąś wartość.

– A dla was? Złoto ma wartość?

– Nie można go zjeść ani się nim ogrzać.

Nieznamoma zmarszczyła brwi. Wyciągnęła z kieszeni dziwny, podłużny przedmiot, który rozpałił się mocnym światłem. Igor odruchowo chciał się cofnąć, ale pustelniczka powiedziała nagle czystym, stanowczym głosem, a cała trójka zamarła:

– Nie ruszaj się.



Zaświeciła Igorowi w oczy, potem kazała mu wodzić wzrokiem za palcem i ścisnąć jej dłoń. Obejrzała jego ciało i włosy, przytknęła nos do szyi i obwąchała. To samo uczyniła z Khaalą, dodatkowo przykładając ucho do brzucha. W końcu stanęła przed Szawłem. Była biała, roztaczała wokół siebie chłód i zapach, jakim przesiąknięte jest powietrze po deszczu. Powtórzyła badanie oczu, obejrzała zęby mężczyzny i utkwiała w nim zaintrygowane spojrzenie.

– Żadnych ubytków neurologicznych, a jednak psychika jest zmielona na papkę. Pochodzicie z dwudziestowiecznego Zachodu, lecz wasza świadomość tkwi w głębokim średniowieczu. I jest szalenie wybrakowana.

Szawet nic z tego nie rozumiał. Nie mógł się skupić; miał poczucie, jakby pochylał się nad nim strażnik kobiety, jakieś wielkie, niewidzialne niebezpieczeństwo o nieznaną dotąd moc. Serce znów mu przyspieszało, oddech stał się zbyt płytki.

– Zostaw! Jest bezbronny. Cokolwiek widzisz, śpi w nim – warknęła pustelniczka, a ucisk i poczucie zagrożenia minęły. Odsunęła się od Szawła i skierowała ku domowi. – Potrzebujecie burzy – skwitowała. – Nie mogę sobie na nią pozwolić, gdy wszędzie roi się od gromów. Ale mam inne sposoby, aby was podreperować. Chodźcie, jest zupa.

Uciekinierzy spojrzeli po sobie. Zapadał zmrok i nagle zapłonęły wszystkie lampiony nad polaną, kąpiąc ją w pomarańczowym, ciepłym świetle. Khaal ponownie ruszyła pierwsza i ani Igor, ani Szawet się nie zdziwili. Była obdarzona charakterystycznym dla jej plemienia instynktem, który jeszcze nigdy ich nie zawiódł. Poszli za nią ku uchylonym drzwiom, skąd płynął zapach aromatycznej strawy i ciepło pieszczące ich poharatane, zmarznięte ciała.

## **Wymiar zerowy (kreska), Królestwo Polskie**

– Musicie przyjąć jeszcze trzysta czterdziesty trzy tysiące imigrantów – upierał się Will Ramsey, cudownie ocalały sekretarz

Unii Państw Postępowych. – To Kanadyjczycy, oddajcie im trochę rezerwat.

– A nie macie już prawdziwych Indian? – zażartował polski premier.

Z twarzy sekretarza zniknął wymuszony, uprzejmy uśmiech. Przez chwilę walczył ze sobą, aż w końcu rzekł obojętnym tonem:

– Możemy poszukać, jeśli taka jest cena.

Królowa uniosła brwi i pokręciła głową. Gestem odprawiła premiera sprzed panelu komunikacyjnego i zajęła jego miejsce.

– Panie Ramsey, przyjeśliśmy już maksymalną liczbę obcokrajowców. Teraz wpuszczamy tylko osoby o polskich korzeniach lub żyjących w wierze chrześcijańskiej. Pragnę przypomnieć, że nasze badania pozwoliły wam zagospodarować ocalałe siedemnaście procent Ameryki. Oddaliśmy waszym naukowcom sprzęt, żebyście mogli szukać metod na skażenie. Udzieliliśmy pożyczki z królewskiego skarbcza. Śmiem twierdzić, że nigdy nie spłacicie nawet połowy. Nie sądzi pan, że zrobiliśmy wystarczająco?

– Mieliśmy kiedyś umowę...

– Umowy starego świata zerwała Burza. To nie wasza wina, że dosięgnęła Unii, ani nasza, że jej uniknęliśmy. Porozmawiajcie ze Wschodnimi Niemcami, Nową Rosją albo Cesarstwem Ukraińskim.

– Gdyby mogła królowa namówić króla Węgier...

– Proszę zapomnieć. Polecam ułożyć się ze Szwabami, oni przyjmują wielokrotne nadwyżki. Inwestują w ilość, jeśli chodzi o siłę roboczą. Więcej porad nie mam. Koniec audiencji.

Ekran zgąsł, a sala „obrad z plebsem” natychmiast została rozświetlona. Z korytarza prowadzącego do rządowej restauracji napłynął tradycyjny, lecz jak zwykle rozkoszny zapach pieczeni w grzybowym sosie. Premier przestał sączyć pomelowo-limonkową lemoniadę i prychnął.

– Coś ty taka miękka, Izabelo? Mogliśmy wziąć ze czterdzieści tysięcy i czegoś zażądać.

– Tomasz lepiej zajmie się imigrantami. A poza tym, ci z Unii nic już nie mają.

– To co! – zarechotał premier. Siwe, zawadiacko zakręcone wąsy chygotały się przed jego chirurgicznie pozbawioną zmarszczką twarzy. – Jesteśmy drugą potęgą świata. Możemy zabrać im żywność i wrzucić do morza, a oni nam za to podziękują. Jesteśmy nową religią, ziemią obiecaną, a oni to schorowane robactwo!

– Jak cię słucham, zaczynam wątpić w istnienie męskiej logiki – westchnęła królowa, sięgając po elektronicznego papieża inkrustowanego złotem. – Naprawdę chcecie tylko upadłać i podziwiać swoją potęgę? Stereotypy na wasz temat są prawdziwe, przynajmniej w twoim wydaniu?

Premier z niezadowoleniem wydał wypielęgnowane usta.

– Miałbym większą frajdę z królem.

– A jednak to jego zamordowałeś, nie mnie.

Głowy Królestwa Polskiego uśmiechnęły się do siebie serdecznie w napęczniałym od dóbr, ośmiokrotnie powiększonym Wawelu. Świat niemal należał już do nich.

## **Trzynasty wymiar pod kreską, Wiedźmi Las**

Szawet stwierdził, że z brzuchem pełnym ciepłego jedzenia i kuflem przedniego piwa w ręku, świat wciąż może wydawać się piękny. Szauszka, ich gospodyni, siedziała przed rozpalonym kominkiem w bujanym fotelu, z puszystym, białym kotem na kolanach. Paliła tytoń upchany w cienki rulonik – nazywała to papierosem. Poczęstowała jego i Igora; Szawet odmówił, brat właśnie kończył drugiego. Khala piła słabe wino z głogu i róży, które, jak twierdziła Szauszka, miało nie szkodzić dziecku.

Pustelniczka próbowała przekonać ich do teorii o pochodzeniu z innego świata: rzuciła jakąś nazwę i prosiła, by podawali pierwsze skojarzenie. Lekki alkohol miał pomóc otworzyć umysł. Szawet nie rozumiał, czemu ochoczo brali udział w zabawie. Może była to sprawa wiedźmiego uroku, a może

tęgo, że od długiego czasu nie zaznali bytności w przyjaznym miejscu. Przestali wyczuwać obecność strażnika gospodyni, gdy przestąpili próg domu, a wychudzona kobieta nie zdawała się zagrożeniem. Szawet próbował zachować czujność, ale coś mówiło mu, że to idiotyczne. Żeby się odprężyć.

– Pieniądz.

– Opłata – stwierdził natychmiast Igor.

– Korupcja – niemal jednocześnie powiedziała Khala.

Szawet się zastanawiał. Szauszka wycelowała w niego żarzącego się papierosa.

– Bez namysłu! Pieniądz!

– Kurwy! – krzyknął mężczyzna. Szauszka powiodła po nich chytrym spojrzeniem.

– A jak wygląda pieniądz?

Cisza. Nikt nie miał pojęcia. Znowu. Twarz gospodyni rozjaśnił pełen satysfakcji uśmiech, choć nie obejmował on oczu. Nieustannie zdawały się Szawetowi przepełnione wręcz groteskowym cierpieniem. Podejrzewał, że ta dostrzegalna w całym jej ciele męka zjednywała przybyszów, bo zdradzała człowieczeństwo. Empatię.

Szauszka wyciągnęła kolejny album ze stosów za fotelem, znalazła odpowiednią stronę i pokazała młodszemu z mężczyzn.

– Który twój?

Znajdowały się tam różnej wielkości i koloru papierowe prostokąty, przedstawiające ludzi, zwierzęta, budowle i niepojęte symbole. Tym razem Szawet bez zastanowienia wskazał na świstek w lewym dolnym rogu.

– To Jagietło!

– Czyli kto?

– Eee... nie mam pojęcia.

– Sto złotych. Polski pieniądz. Dawny król.

– Jestem z królestwa?! – podniecił się Szawet. – Szlachcic?

Khala parsknęła. Igor uśmiechnął się błado. Szauszka pokręciła głową.

– W waszych czasach nie było już królestw. Na Zachodzie istniały skorumpowane rządy, banki i wielka kiesa Watykanu. Polska, kraj strzyg i upiórów, jednego z najbardziej walecznych, twórczych i tolerancyjnych narodów, w waszych czasach został uciśniony przez chciwych i okrutnych głupców, przyspane do organizmu narodu pasożyty, puste dogmaty i powierzchowne ideologie. W świecie kojarzą was ze złodziejstwa, jak pospolicznych opryszków.

– Szaweł z Kraju Złodziei – powiedział z namaszczeniem Igor.

– I z pijaństwa – dodała bezlitośnie Szauszka. – Ale wciąż pozostajecie mądrym narodem, chociaż tak bardzo uwielbiacie generalizować, że czasem trudno w wasz rozum uwierzyć. Gdy wszystko się rozpada, szaleje destrukcja i trzeba radzić sobie samemu, Polak jest jak karaluch. Przetrwa wszystko, bo ma instynkt, który go nie zwodzi. Jest cholernie uparty.

– Teraz on – burknął Szaweł, wskazując na chichoczącego brata. Pustelniczka skierowała ku niemu album.

– Zaćmienie Słońca z dziewięćdziesiątego roku! – krzyknął dezerter.

– Co to jest zaćmienie Słońca?

– Hmm...

– Pokazałeś rumuński pieniądz. Wiesz, że jak w Polsce chcą kogoś obrazić, mówią na niego Rumun?

Szaweł wyszczerzył zęby do brata. Ten spiorunował go wzrokiem.

– Tyle że Polacy to ignoranci, mylą Romów z Rumunami – kontynuowała Szauszka. – Rumunia, kolebka jednego z wyobrażeń wampirów. Obok dziurawych chałup zobaczyć można tam było marmurowe wille. Rumuni uważają się za potomków Rzymian, spadkobierców Daków. Nikt nie wymordował ich inteligencji, w przeciwieństwie do polskiej. Byli ambitni, chcieli się rozwijać, lecz mimo to postrzegano ich przez pryzmat zacofania, jako barbarzyńców i pastuchów w kozuchach,

z baranami pod pachą i czosnkiem u szyi. Dali się raz zniewolić fanatykowi, który zmuszał do płodzenia, a potem upychał niechciane dzieci po kątach. Patrzyłam na jego egzekucję.

– Wyśmienicie – skwitował Szaweł. Wlepił spojrzenie w Khałę.

Gospodyni zamknęła album, wrzuciła go na jeden ze stosów pod ścianą, po czym zaczęła grzebać w zwojach i pudełkach. Kot zeskoczył z jej kolan, by przewrócić się z rozkoszą na kawałku miękkiej skóry przed kominkiem i natychmiast usnąć.

– Młoda damo, nie jesteś z tego samego wymiaru, co twoi mężczyźni. – Szawszka wyłowiła zza fotela małą szkatułkę, otworzyła i wyciągnęła ją w kierunku Khali. Wewnątrz znajdowała się kupka rzeźbionych kryształów, migotliwych kamieni i dziwnych tworzyw, których Szaweł nie umiał nazwać. Niektóre wyglądały jak zastygłe krople wody, klucze lub skamieniałe błyskawice, wokół innych zawinięte były miedziane druciki i sznurki. Przez część przepuszczono żyłki, jakby można je było gdzieś zawiesić. Khała zanurzyła palce w zawartości szkatułki i wyciągnęła z niej owalny, bezbarwny kamyk, z którego wnętrza wydobywało się czerwone światło, jak gdyby ktoś umieścił tam żarzący się węgielek.

– *Iheerterie* – oznajmiła w swoim języku, kładąc znalezisko na szczycie świecidełek.

Szawszka przyjrzała się kamykowi i pokiwała głową, ale milczała i nie wyglądała na skorą do wyjaśnienia braciom tego, co ustaliła. Igor wychylił się w jej kierunku.

– Co to za bzdury? Przecież mamy wspomnienia z dzieciństwa. Z małżeńskiego życia. Z zagłady.

– Mój drogi, cokolwiek bym ci nagadała, i tak nie zrozumiesz. Powiem prawdę, a ty ją po prostu zapamiętaj na przyszłość. Masz obecnie dostęp do wszystkich możliwych wspomnień. Do nieskończonej liczby scenariuszy swojego życia. Wymiar został rozerwany. Twój mózg przystosowany jest do rozpoznawania tylko jednej drogi. Nie dość, że apokalipsa uszkodziła ci zwoje we łbie, to jeszcze teraz moce umysłowe

wyciekają ci na nieskończoność. Dlatego masz braki i bez dożywienia będą się powiększać. – Widząc konsternację na twarzy Igora, Szauszka westchnęła i wychyliła się ku niemu, patrząc mu uważnie w oczy. – Wypadliście z głównego nurtu przez dziurę, którą zrobił Burza i długo lecieliście w dół, w głąb, aż tutaj. To jest wasz świat, ale ewentualny, nie właściwy. Zajęliście miejsca własnych klonów. Quasi-Khali. Quasi-Igora. Quasi-Szawła.

– Z kim ona jest w ciąży? – spytał raptownie Igor.

– Ech, nadal nie pojmujesz. Tak naprawdę z żadnym z was. A ta, która faktycznie była w ciąży, zniknęła.

Pustelniczka opadła na fotel i spojrzała w tańczące płomień. Starszy z braci potrząsnął głową, jakby odganiał sen, po czym dopił piwo i wstał.

– Muszę się przewietrzyć.

Wyszedł na werandę, w pomarańczowy blask setek lampionów. Po chwili Szauszka wstała i ruszyła za nim, pozostawiając milczących kochanków samych.

Igor stał na skraju podestu, patrząc na niebieskie drzewa, na których wraz z zapadnięciem mroku pojawiły się fosforyzujące, błękitne żyłki. Przypominały gromy.

– Widziałeś Burzę – stwierdziła cicho wiedźma, gdy zamknęła za sobą drzwi. – Dostrzegam to w tobie. Ale zszedłeś mu z drogi.

– Tak.

Mężczyzna sądził, że kobieta zapyta o powód, lecz ta spojrzała gdzieś w głąb lasu i jakiś czas milczała. Igor przyglądał się jej przez chwilę, tym głodnym, zrozpaczonym oczom i rozumiał, że interesowało ją coś innego.

– Był... piękny – stwierdził. – I straszny. Nie mogłem odebrać oczu. Nie dałbym rady, gdyby nie myśl o Khali.

Szauszka nic na to powiedziała. Zdawało się, że ma tysiąc lat i widziała wszystko. Mężczyzna dojrzał kształt warującego nieopodal psa.

- Czemu tam siedzi? – Wskazał ręką.
- Wiedźma uśmiechnęła się z czułością.
- Wypatruje Burzy.

Igor, pchnięty nagłym impulsem, podszedł do niej i złapał za zimną dłoń. Natychmiast poczuł obecność czegoś niesamowitego, wrogo do niego nastawionego, czekającego na kolejny ruch. I niewytłumaczalną przyjemność z dotknięcia Szauszki. Myśli zdały się klarowniejsze, umysł jasny, choć niekompletny, pełen dezorientujących plam. Czy to, co mówiła, było prawdą, czy też urokiem szeptuchy z babcinych bajań?

- Czy tu jest bezpiecznie? – spytał.
- Póki tu jestem, tak.
- Jesteś wiedźmą?
- Możesz tak o mnie myśleć.
- Chorujesz?
- Tak, ale nie zarazam ani nie umieram.
- Możemy ci zaufać?
- Byłeś żołnierzem, czyż nie? Zdążyłeś nabyć żołnierskiego honoru?

- Poświęciłbym się za innych – odparł Igor. – Burza... nie stanowił wroga, z którym można walczyć. To byłoby bezsensowne poświęcenie.

- Zdolność do mądrego poświęcenia masz w genach – stwierdziła kobieta. – Żołnierski honor jest czymś innym. Oddaniem na rozkaz. Tego nie znasz. Jeżeli rozkaz nie jest zgodny z interesem wojaka, i tak go wykonuje. Uznaj, że wiedźmy mają taki żołnierski honor. Służę jednej sile, zdradliwej, lecz obiecującej wiele. Może najwięcej. Tej samej, która kazała ci zejść z drogi Burzy.

Mężczyzna mocniej zacisnął dłoń na jej nadgarstku, wyczuwając powolny puls. Zastanawiał się przez chwilę nad słowami Szauszki, nie mogąc oderwać oczu od jej ust. Im dłużej przyglądał się tej kobiecie, tym mniej zwracał uwagę na wyniszczenie i dostrzegał coraz więcej piękna. Był niemal przekonany, że to



czary, ale czy magiczne sztuczki, mające wabić i oczarowywać, mogły być tak przesiąknięte smutkiem?

– Pytanie, kogo kochasz, wiedźmo – wyrzekł w końcu. Nie wiedział, w jaki sposób stał coraz bliżej kobiety. Ich ciała niemal się stykały.

– Sądzę, że ulokowałam uczucia lepiej niż ty.

Igor puścił jej rękę i odsunął się, jakby wiedźma zaczęła cuchnąć. Cały urok ulotnił się jak rozwiany wiatrem obłok.

Mężczyzna należał do podlejszego rodu wśród tych zamieszkujących niegdyś Szemrzącą Dolinę. Jego rodzina szukała sobie szlachetnych małżonków i starała się podnieść status krwi. Wrzosowie wyruszali na dalekie wyprawy, by uwodzić opowieściami o pięknie okolicy, przywilejach czekających na wyższe kasty, odcięciu od świata wojen i przemocy. Prostota oraz szczerze serca młodych mężczyzn i kobiet z rodu czasem przynosiły zamierzone skutki, a wybranki i wybranków nakłonionych do przyjazdu do doliny otaczano wciąż nieodległą od boskiej.

Igora wychowano w przekonaniu, że zdradzający partner to największa ujma, świadcząca o tym, że dany Wrzos jest słaby. Natomiast taki chojrak, który uwiódł egzotyczną partnerkę innego, choć podlegał zwyczajowej karze, uchodził za kogoś godnego poważania i reprezentowania rodziny. Zdrada Khalii okryła hańbą Igora i wyniosła na piedestał Szawła. Starszy z Wrzosów wciąż o tym myślał, choć ich świat i jego obyczaje przestały istnieć.

A Szauszka twierdziła, że to nawet nie jest ich życie, historia, ciała.

– Zostań, a was uratuję. Odejdź, a zginiecie – oznajmiła wiedźma. – Wybór jest prosty.

Mężczyzna poczuł gułę rosnącą w gardle. Uzmysłowił sobie, że jest naprawdę wykończony, a serce przepętnia mu rozpacz związana z losem, który go spotkał.

– Mam już tylko ich – powiedział cicho, nie wiedząc, czy ten fakt bardziej go obrzydza, złości, czy mimo wszystko cieszy.

– A ja tak naprawdę nikogo – odparła wiedźma, rozkładając ręce i uśmiechając się ponuro. – Mogę wziąć was. Bezdomny pies czy człowiek ze spranym łbem, co za różnica?

– Za to nas masz? – mruknął Igor, patrząc na śpiące zwierzęta, spowite niebieską poświatą. – Za psy?

– Właściwie tak. Póki nie zyskacie świadomości.

– Lepsze to niż nic. Przynajmniej ich nie jesz.

Jej uśmiech zmienił się na serdeczny.

– Robię z nimi inne rzeczy. Na noc zmieniam w barbarzyńców. Co prawda czystych i schludnych, ale przepisowo nieokrzęsanych – odparła z niemal udaną kokieterią. Mężczyzna westchnął.

– Jeśli nie masz między nogami jakiejś krwiożerczej rośliny i nie wyzioniesz przy tym ducha, mogę być twoim barbarzyńcą. Bez rzucania uroku. Już jej nie kocham. Chciałbym żyć, po prostu żyć, a ugrzęzłem z nią u końca świata.

Szuszka oparła łaskę o ścianę i podeszła do niego powoli. Jej oczy znalazły się tuż przed jego, wciągały w przeraźliwą głębię.

– Jest w nas coś podobnego – mruknął.

– Tak. Dlatego domyślisz się, co powiedzieć.

Igor patrzył w otchłań. Otchłań spoglądała w niego.

– Szedł i siał śmierć – szepnął.

Wpiła się zachłannie w jego usta. Smakowała jak powietrze po burzy.